

Wojciech Stanisławski: Zlekceważone stulecie

Jak wiadomo, Kreml jest nader aktywny w mediach społecznościowych, w tym na Facebooku, tyle, że najczęściej w niejawnym sposób. Gdyby funkcjonował tam jak przeciętny fizyczny użytkownik, w odpowiedzi na pytanie o stosunek do Rewolucji Październikowej mógłby kliknąć ikonkę „To skomplikowane” – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Stulecie października.

„I już na zawsze zostanie ten żal / Nieoswojony, nieopowiedziany nikomu” – ten epigraf z Miłosza mógłby w gruncie rzeczy otwierać tekst o rozliczeniu każdej masakry, każdej wojny, zwłaszcza domowej, każdego kataklizmu społecznego. Przez stulecia nie robiono w tej sprawie nic: zwycięzcy dożywali swoich dni z tłustym poczuciem triumfu, ofiary – z pragnieniem pomsty, nienawiścią, bezradnością. Akty indywidualnej skruchy z jednej, przebaczenia z drugiej stanowiły przedmiot zdumienia lub podziwu, nigdy nie przekładając się na realne decyzje polityczne; dopiero niespełna dwieście lat temu myśl o rachunku win i wybaczeniu zaczęła torować sobie drogę do przemówień, nieraz tak świetnych, jak „Przemowa Gettysburska” Lincolna czy pamiętne słowa Józefa Piłsudskiego skierowane do żołnierzy po przewrocie majowym („Niechaj krew ta gorąca, najcenniejsza w Polsce krew żołnierza, pod stopami naszymi będzie nowym posiewem braterstwa”). Trudno jednak powiedzieć, by mowy te przełożyły się na polityczną praktykę pojednania. Równolegle,

począwszy od deklaracji paryskiej z 1856, przez konwencje haskie, aż po końcowe artykuły traktatu wersalskiego postępowało definiowanie zbrodni wojennych.

Koncepcja rozliczenia nie tylko zbrodni wojennych, lecz wszystkich dokonań państwa (również tych dokonanych wobec własnych obywateli i cywilów państw okupowanych) po raz pierwszy pojawiła się w trakcie powoływania Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze w roku 1945. Nie miejsce tu, by pisać o wszystkich niepowodzeniach tego Trybunału i ograniczeniach, jakie narzuciła mu rozpoczynająca się zimna wojna, która spowodowała też zaniechanie lub storpedowanie licznych działań śledczych i karnych wobec architektów i funkcjonariuszy państwa Hitlera. Równie obszerna i złożona jest kwestia działań z pogranicza edukacji i inżynierii społecznej, rozpoczętych w 1945, lecz prowadzonych przez kilka ekip politycznych i wobec kilku generacji, które doprowadzić miały do wielkiego niemieckiego *katharsis*.

*Dojście do władzy Władimira
Putina i jego zaplecza
politycznego w początku XXI
wieku w oczywisty i
rozstrzygający sposób
zablokowało wszelkie próby
oficjalnego, całościowego
potępienia komunizmu i
Rewolucji Październikowej*

Niezwykle łatwo,
zwłaszcza
współcześnie,
krytykować bądź to
arbitralność, bądź
połowiczność tych
działań, a zwłaszcza
ich zaniechanie.
Zdaniem wielu
obserwatorów
doprowadziło ono na
naszych oczach do

pojawienia się „Niemiec wolnych od poczucia winy” ze wszystkimi tego konsekwencjami. Niemniej trzeba się zgodzić, że „Norymberga”, jeśli pod tym hasłem rozumieć całość działań dochodzeniowych, sądowych, penitencjarnych i wychowawczych prowadzonych w ramach denazyfikacji, była przedsięwzięciem bez precedensu. Inicjatywa ta (rozumiana zwykle hasłowo, bez zagłębiania się w mielizny, ślepe uliczki i niepowodzenia procesu denazyfikacji) wyznaczała odtąd horyzont marzeń poddanych kolejnych reżimów, które dopuszczały się czegoś więcej niż zwyczajowej brutalności i okrucieństwa. Marzeń, dodajmy, w całości nigdy niespełnialnych, a w praktyce nigdy niespełnionych.

Równoległe rośnie pragnienie wymierzenia sprawiedliwości opresyjnemu systemowi i sprawcom krzywd przy jednoczesnej świadomości, że nie sposób powtórzyć „modelu Norymbergi” w okolicznościach innych niż przegrana wojna światowa, bezwarunkowa kapitulacja, rozpad struktur państwa i poddanie go okupacji. Doprowadziło ono z czasem do wypracowania i doskonalenia instytucji, odwołujących się do pojęcia „sprawiedliwości naprawczej” (*restorative justice*) – zjawiska o charakterze zupełnie innym niż realizowana przez sądownictwo „sprawiedliwość odwetowa” (*retributive justice*). W krajach o wysokiej kulturze prawnej i unormowanych stosunkach wewnętrznych sięga się po narzędzia sprawiedliwości naprawczej w trosce o uwzględnienie emocji i przeżyć ofiar, którym kara, wymierzona sprawcy przez państwo, nie dawała zadośćuczynienia. W sytuacji, gdy dochodziło do pokojowego przekazania władzy z rąk „obozu sprawców” w ręce „obozu ofiar” formuła „sprawiedliwości naprawczej” była tak naprawdę jedyną, na jaką można było sobie pozwolić bez obaw przed reakcją „resortów siłowych”, zwykle ponoszących największą odpowiedzialność za łamanie prawa. Taka była geneza większości „Komisji Pojednania i Sprawiedliwości”.

Pierwsza z nich, przypomnijmy, powstała w Boliwii w roku 1982, jako „Narodowa Komisja ds. Dochodzenia w sprawie Zaginionych”, i jej działalność zakończyła się fiaskiem. W rok później „Narodową Komisję ds. Zaginionych” powołał, po upadku junty, prezydent Raul Alfonsin w grudniu 1983 r. Efektem jej prac był raport „Nunca Mas” (nigdy więcej): zgromadzone w nim zeznania zostały wykorzystane w pierwszym wielkim procesie od czasów Norymbergi, w którym oskarżano o zbrodnie wojenne. W sześć lat później w Chile powołano pierwszą komisję, stawiającą sobie za cel zarówno gromadzenie świadectw i dochodzenie sprawiedliwości, jak działanie na rzecz pojednania narodowego: Komisja Prawdy i Pojednania, zwana też, od nazwiska przewodniczącego, Komisją Rettiga, nie miała jednak uprawnień śledczych i nie uzyskała dostępu do archiwów służb specjalnych ani wojska.

Podobne handicapy były udziałem blisko dwóch kolejnych podobnych komisji tego typu, powoływanych w następnych latach od RPA po Rwandę: uwikłane w polityce, zmuszone do zaoferowania bezkarności architektom systemu zbrodni i skoncentrowaniu się na szeregowych sprawcach, nigdy nie zdobyły (jako propozycja ustanowienia ładu po wstrząsie i wojnie domowej) popularności porównywalnej z „Norymbergą”. Nie znaczy to, że można lekceważyć akty indywidualnej skruchy i przebaczenia, do jakich potrafiły doprowadzić, o czym zaświadczały reportaże, relacje, filmy. Doświadczenie to jednak nie było szeroko znane w okresie zapaści komunizmu w Europie, a tam, gdzie było znane, nie cieszyło się szczególną popularnością. Na ulicach Warszawy i Bukaresztu domagano się czasem „Norymbergi dla komunistów”, a nie „Komisji Pojednania dla komunistów”, oczywiście zaś niepowodzenie tych dezyderatów owocowało takimi utworami z pogranicza satyry i *political fiction*, jak kultowa w pewnych

środkach „Czwarta Rzesza” Roberta Talbotta (opublikowana na łamach „Frondy” po zwycięstwie wyborczym SLD w roku 1993), przewrotnie i czytelnie opisująca ewolucję i triumf zreformowanego, „okrągłostołowego” nazizmu.

W upadającym Związku Sowieckim radykalny antykomunizm był żywiołowy, rozproszony. I nieskuteczny. Owszem, wiele się działo: odwilżowi historycy, uważani za „rewizjonistów”, z Rojem Miedwiediewem (dziś, nota bene, sędziwym entuzjastą Putina) usiłowali w systematyczny sposób opisywać zbrodnie stalinizmu jeszcze w latach 60. (dzieje tej formacji desperatów opisał, nadając im może przesadnie duże znaczenie, Roger Markwick w monografii „*Rewriting History in Soviet Russia: The Politics of Revisionist Historiography, 1956-1974*”). Równolegle działał Sołżenicyn, z siecią swoich kilkudziesięciu pomocników-researcherów, określonych przezeń mianem „Niewidzialnych” – i w pierestrojkowych latach ZSRS żył zdejmowaniem zapisów z kolejnych książek Aleksandra Isajewicza i kolejnych legendarnych pozycji literatury łagrowej, od Eugenii Ginzburg po Szalamowa, od Nadieždy Mandelsztam po „Dzieci Arbatu”. W styczniu 1989 roku rozpoczęło oficjalną działalność Stowarzyszenie Memoriał, półlegalnie już od dwóch lat prowadzące działania na rzecz stworzenia centrum pamięci ofiar stalinowskich represji; setki jego współpracowników gromadziły relacje i dokumenty, dokumentowały zachowane szczątki łagrów. Tekstów źródłowych, dzieł literackich i prac naukowych traktujących o zbrodniach komunizmu sowieckiego opublikowano od tego czasu w Rosji tysiące.

Z badań Centrum Lewady wynika, że w ciągu ostatnich 20 lat poparcie dla Stalina wzrosło w ciągu ostatnich lat trzykrotnie: w marcu br. sięgnęło 45 proc.

Dążenie do utrwalenie pamięci o ofiarach i złożenia im hołdu to jednak nie to samo, co osądzenie komunizmu jako takiego, choć można przypuszczać, że do

takiego stanowiska przychyła się większość członków Memoriału. Rosja nie doświadczyła „Leninopadu”, ciało wodza nadal spoczywa o dwa kroki od butików na Placu Czerwonym. Zarejestrowana w marcu 1993 roku Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej, najpoważniejsza spadkobierczyni elektoratu KPZR, już w pierwszych wyborach do Dumy uzyskała ponad 12 proc. mandatów; poparcie dla niej nigdy nie spadło poniżej 11 proc., w wyborach w roku 1999 r. sięgnęło 24 proc.; można przypuszczać, że byłoby wyższe, gdyby o schedę duchową po KPZR (w przypadku potępiającej rynek i głoszącej ateizm formacji fraza „scheda duchowa” brzmi, zauważmy, jak dubeltowy oksymoron!) nie konkurował z KPFR tuzin innych ugrupowań. Dojście do władzy Władimira Putina i jego zaplecza politycznego w początku XXI wieku w oczywisty i rozstrzygający sposób zablokowało wszelkie próby oficjalnego, całościowego potępienia komunizmu i Rewolucji Październikowej: gestom w rodzaju otwarcia w Moskwie państwowego Muzeum Gułagu, odsłaniania pomników ofiar czy erygowania cerkwi pod wezwaniem Świętych Męczenników towarzyszyły posunięcia niemniej wymowne – od represji spotykających Memoriał po zamknięcie jedyne autentycznego muzeum GUŁagu, słynnego „Perm-36”.

Oczywistą konsekwencją takiego podejścia były próby (po części podejmowane na szczeblu centralnym, po części, przez lokalnych nadgorliwców) oszczędnej, nieostentacyjnej, ale niewątpliwej rehabilitacji Stalina. Po części związane to było z najpoważniejszą decyzją Putina dotyczącą polityki historycznej, czyli uczynienia ze zwycięstwa w II wojnie światowej centralnego wydarzenia w dziejach Rosji w XX wieku. To zwycięstwo, odpowiednio zinterpretowane, pozwala nobilitować Rosję jako „peacemakera”, usprawiedliwić większość, jeśli nie wszystkie, ofiary ZSRS (można je uznać za ofiary niezbędnej modernizacji, koniecznego wysiłku wojennego lub nieuniknionej powojennej odbudowy), wreszcie dać Moskwie uzasadnione historycznie prawo do tropienia wszelkich przejawów (neo)faszyzmu. Niemal równie istotne było wystąpienie Putina na zorganizowanej przed 10 laty przez Kreml konferencji dla nauczycieli i wykładowców historii, podczas której prezydent FR uznał Stalina za „przywódcę działającego brutalnie, lecz racjonalnie”.

Efekty nie kazały na siebie długo czekać: z badań Centrum Lewady wynika, że w ciągu ostatnich 20 lat poparcie dla Stalina wzrosło w ciągu ostatnich lat trzykrotnie: w marcu br. sięgnęło 45 proc. Drobnych posunięć, odzwierciedlających tę tendencję (i serwilizm lokalnych decydentów) również nie brakuje: do roku 2013, jak stwierdził Władimir Ławrow, wicedyrektor Moskiewskiego Instytutu Badań Historycznych, odsłonięto lub odrestaurowano 10 pomników Stalina; jego muzeum otwarto w Wołgogradzie, Centrum Kultury jego imienia – w Penzie i w Twerze, gdzie zasiadający w lokalnych władzach deputowani KPFR przeforsowali ogłoszenie roku 2016 „rokiem Stalina”. Jak nie restauracja murali z lat 40. („Za Rodinu! Za Stalina!”) na stacji metra Kurska, to (w lipcu 2009 r.) awantura na forum OBWE podczas głosowania nad uznaniem 23 sierpnia za „dzień ofiar nazizmu i staliznizmu”.

Tyle, że wszystkie te posunięcia oznaczają podtrzymywanie wspomnianego wyżej dogmatu o Wojnie Ojczyźnianej jako wydarzeniu definiującym rolę Rosji w świecie i Stalinie jako organizatorze rządowego państwa. O Leninie jak najmniej – niech się kurzy. Liczni obserwatorzy zauważyli brak jakichkolwiek organizowanych przez państwo obchodów stulecia rewolucji bolszewickiej (oficjalnie 7.11. nie jest świętem państwowym już od kilku lat; by nie odbierać obywatelom przyzwyczajenia i dnia wolnego, świętuje się tego dnia słynną defiladę zorganizowaną w Moskwie jesienią 1941 r., z której ochotnicy szli na niedaleki front).

„Antyleninizm” dzisiejszej ekipy na Kremlu pokazuje, jak łatwo dziś postawić świat na głowie

Wygląda jednak na to, że sprawy zaszły dalej: wystudiowana obojętność i lekceważenie skrywają niechęć. „Dlaczego

mielibyśmy to świętować?” – pyta rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow. Sam Putin uznał wydarzenia jesieni 1917 roku za „niejednoznaczne”. Świeczka i ogarek? Nie tylko. Zachód wysyłający bolszewicką elitę w zaplombowanym wagonie, by ta zniszczyła ancien regime, doskonale pasuje do antyokcydentalistycznych fobii, które animuje dziś Kreml. A i sam Lenin... Przewrotny. Rewolucjonista. Żadnego szacunku dla struktur państwa – nie to co, również wspierany przez kremlowskich „inżynierów pamięci zbiorowej” Iwan Groźny! A co, jeśli podobny grasejujący mówca zdoła za sobą porwać protestujących w Rosji dziś lub jutro?

Ten „antyleninizm” dzisiejszej ekipy pokazuje, jak łatwo dziś postawić świat na głowie. Owszem, badacze propagandy i historiografii czasów stalinowskich zauważają, że od końca lat 20. postępowało zrównywanie wagi wizerunków Lenina i Stalina, który stopniowo urastał do godności pierwszego wśród uczniów, asystenta, podpory, a wreszcie godnego następcy Lenina. Ale przeciwstawić dobrego, państwowotwórczego Stalina złemu burzycielowi Leninowi – nie, tego nawet Żdanow by nie wymyślił.